OPIEKUN DZIATWY

BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU WĄBRZESKIEGO"

NR. 2 | WĄBRZEŹNO, DNIA 11 STYCZNIA 1936 ROKU | ROK 6

Czwarty mędrzec ze wschodu

(Legenda).

Powiadają, że w on czas, kiedy na niebie zabłysła gwiazda przedziwnej piękności i blasku, wskazując drogę do Betleem w ziemi Judzkiej, ujrzało ją czterech mędrców ze wschodu.

Czterej tedy mędrcy postanowili wyruszyć w drogę daleką, aby złożyć Zbawicielowi hołd i dary.

Wyznaczyli sobie miejsce wspólnego czekania, ale trzej tylko przybyli na umówiony punkt zbiorny — czwarty towarzysz spóźnił się.

Wybrali się więc ci trzej w podróż bez niego.

Bez szczególnych przygód i przeszkód dotarli do miasta Betleem i znaleźli tam Dzieciątko w żłobie. Jako Bogu cześć mu oddali i dary złożyli w ofierze: złoto, kadzidło i mirrę!

Czwarty mędrzec śpieszył także na umówione miejsce, ale w drodze spotkał człowieka, którego rozbójnicy poranili i obrabowali.

Zabiło litością serce mędrca.. Jął opatrywać rany owego człowieka, posadził go na swego konia i pocieszał słodkiemi słowy.

Ale poszkodowany płakał wciąż i jęczał:

— Co ja pocznę, nieszczęśliwy!... Niegodziwcy zabrali mi całe moje mienie! Jestem teraz żebrakiem.

Nagle posłyszał mędrzec głos przesłodki, a jednak tak mocny, jak najsilniejszy nakaz:

— Oddaj mu jeden z klejnotów, które wieziesz dla Króla.

Nie wiedział mędrzec, czy głos ten był kędyś poza nim, czy to przemawia jego własne serce, ale usłuchać musiał.

Wziął ze sobą dla Pana trzy przecudne kamienie: diament jasny jak słońce, rubin czerwony jak krew i szmaragd zielony jak morze.

Wyjął teraz diament i oddał go obrabowanemu przez zbójców człowiekowi. Potem odjechał śpiesznie, żegnany dziękczynieniami obdarowanego.

I jechał... jechał długo... Gwiazda Betlejemska nie gasła i wiodła go za sobą, wskazywała mu drogę...

Po wielu dniach uciążliwej podróży przybył nareszcie do Betlejem, ale nie zastał tam Pana.

Mieścina pełna była rzymskich żołdaków i płaczących matek. Wszędy rozbrzmiewały lamenty i żałosne skargi, bo oto okrutny król Heród wydał rozkaz, że wszystkie niemowlęta umrzeć muszą.

Mędrzec, przejeżdżając ulicami miasta, zobaczył przed jednym z domów młodą niewiastę, która padła na kolana przed żołnierzem rzymskim i błagała o litość dla dziecięcia swego.

Ale żołdak głuchy był na wszystkie prośby i odpowiadał uparcie:

— Oddaj dziecko!

Już wyciągał rękę, by wydrzeć dziecię z ramion matki.

— O, ja nieszczęsna! — jęknęła niewiasta — czemuż nie mam pieniędzy, ni klejnotów... Może dar bogaty skruszyłby to twarde serce łatwiej, niżeli łzy matki!...

Mędrzec posłyszał znowu słodki, łagodny, miłosierny głos: — Oddaj temu żołnierzowi twój rubin!

Dobył klejnot i oddał go żołnierzowi. Dziecię było ocalone.

Mędrzec opuścił Betlejem, a długo jeszcze towarzyszyły mu błogosławieństwa nieszczęśliwej matki.

Wędrował tak długie lata, prowadzony wciąż przez niegasnącą gwiazdę która świeciła mu we dnie i w nocy...

Wiodła go gwiazda przez lat przeszło trzydzieści. Był w Egipcie, w Nazarecie, w Galilei, ale nigdzie nie zastał Pana...

Nareszcie, znużony i utrudzony, przybył do Jerozolimy — tam, jak zwykle, pytał o Króla Żydowskiego.

— Tak jest — odpowiedziano mu z szyderczym śmiechem — jest Król Żydowski... Idziemy właśnie patrzeć, jak będzie umierał haniebną śmiercią na krzyżu.

Posmutniał mędrzec i odwrócił głowę. Zobaczył smukłego, pięknego młodzieńca, który miał ręce związane. Młodzieniec rzucił się do nóg mężczyźnie o twarzy twardej, surowej i prosił o zmiłowanie.

Winien był temu człowiekowi pewną kwotę pieniędzy, a że zapłacić nie mógł, uprowadzono go w niewolę.

I znowu ozwał się ów głos, dwakroć już przez mędrca słyszany: — Oddaj mu swój szmaragd!

Mędrzec wyjął kamień i obejrzał go. To był ostatni dar, jaki zachował dla Pana swego, a jednak oddał go posłuszny wewnętrznemu nakazowi.

Młodzieniec odszedł wolny, lejąc łzy radości.

Nagle ściemniło się, niebo pokryło się czarnemi chmurami, ziemia zatrzęsła się. Poczęły się walić mury. Jeden z oderwanych kamieni ugodził mędrca tak silnie w głowę, że ten padł na ziemię.

— Umieram! — zawołał — nie będę oglądał oblicza Pana mego! Nie mam już dla niego żadnego daru! Snać niegodzien byłem łaski.

Zaledwie wyrzekł te słowa — łagodne jakieś światło rozdarło ciemności i w poświacie tej ukazał się człowiek. Długie, złote włosy spadały na ramiona, oczy jaśniały jak gwiazdy — wyciągnięte ręce były przebite. Oblicze promieniało mu nieziemską, bezmierną dobrocią. I tym samym słodkim głosem, który po trzykroć ozwał się w sercu mędrca, przemówił:

— Szukałeś mnie, a Ja jestem zawsze z tobą. Cokolwiek uczyniłeś najnędzniejszemu z braci moich, Mnie Samemu uczyniłeś.

Fr. Lewandowski.

ŁZY.

Dobrze jest czasem, gdy się łzy poleją —
dobrze jest, gdy się nam dusza zasmęci...
bo po łzach jaśniej oczy się zaśmieją —
po smutkach więcej nas wesele nęci.

Boć cóżby warte było nasze życie,
gdyby radością jeno wrzała dusza?
znudziłaby się i radość w przesycie
i niebyłoby wesela — a głusza! —

Jako w strumieniu, choć wiecznie tam woda
zda się nam wartko i pomału skacze...
jest groźna burza i cicha pogoda,
i strumień raz się śmieje — a raz płacze...

Więc dobrze czasem, gdy się łzy poleją —
dobrze jest, gdy się nam dusza zasmęci...
bo po łzach jaśniej oczy się zaśmieją —
po smutkach więcej nas wesele nęci!

W. PIWOWARCZYK

Obiad z ubogimi

(Baśń ludowa)

Był pewien bogacz bardzo litościwy. Chłopek to był nieuczony i niepiśmienny, ale serce miał dobre i dla ubogich tkliwe, więc też nigdy nie siadł do obiadu, jeśli kogoś ubogiego nie miał przy stole. Dowiedzieli się o tem biedni ludziska i przychodzili do bogacza, a ten zapraszał ich i częstował, a cieszył się nimi, jako najdroższymi gośćmi.

A było to bardzo dawno, tak dawno, że nikt nie zdołałby powiedzieć, ile razy od tej pory ludziska na świecie cieszyli się wiosną wracającą i bocianami przylatującemi z oddali.

Razu pewnego bogacz ten litościwy zaprosił do swej chaty dziadka siwiuteńkiego i pochylonego, a gościł go serdecznie i uprzejmie, jak tylko umiał. Dziadek niby to jadł, niby nie, niby rozmawiał, ale więcej milczał i tylko patrzył uważnie na wszystko, co się dzieje wokoło.

— Cóżeście dziaduniu tak smutni? — pyta bogacz gościa swego — czy wam co się nie podoba, czyście niezadowoleni?

— Owszem — odpowie dziadek. — Uradowany jestem bardzo, żem znalazł gościnne przyjęcie i nawet chcę was, panie bogaczu zaprosić do siebie na obiad na jutro, ale nie wiem, czy wy do mnie biednego przyjść zechcecie.

— Dlaczegożby nie? Z radością, wszak mała to rzecz, czy kto bogaty, czy ubogi, byle był poczciwy.

— A więc dobrze — rzekł dziadek, wstając i żegnając się — jutro tu po was przyślę białego konia, siądziecie na niego, a on was zawiezie.

Odszedł dziadek, a bogaty wieśniak długo za nim spoglądał i dumał. Jakoś wszystko wydawało mu się dziwnem, jak sen... jakoś dziadek ten zdawał mu się niezwykłym człowiekiem, a tu obietnica przysłania konia białego, najbardziej go interesowała. Nie mógł doczekać się jutra.

Lecz zaledwie świt ozłocił szyby okienka, zerwał się bogacz, wyszedł, aż tu przed chatą stoi koń jak malowany. Duży, biały, śliczny, a czaprak na nim ze srebra i pereł.

Zebrał się prędko bogacz, usiadł na konia i gdy we wsi prawie wszyscy jeszcze spali, on już pomknął jak wicher przez pola i łąki, lasy i doliny, a jazda ta szybka stawała się prędszą, tak, że już potem jak na skrzydłach ptaka zdawał się lecieć.

Jadą, jadą, jadą, a któż wie, ile mil, ile dróg, ile pól i krain przejechali...

Wreszcie przybył do miejsca, gdzie jakaś kobieta przelewała wodę z jednej studni do drugiej, a choć ciągle wodę czerpie, choć ciągle przelewa, ani w tej studni nie robi się mniej, ani w tamtej przybywa.

— O, dla Boga! cóż robisz kobieto? — zawołał bogacz, spojrzawszy ze zdziwieniem, ale zanim ta miała czas mu odpowiedzieć, już koń biały uniósł go daleko.

Spojrzy człek litościwy, aż tu wielki, ogromny pałac, pokoi w nim, co gwiazd na niebie, okna pootwierane, a po tych pokojach chodzi szybkim krokiem jakiś mężczyzna, rozkłada ręce i woła:

— Ciasno mi, ciasno mi!

— Jeszcze ci ciasno? Sam jeden jesteś w tak wielkim pałacu i ciasno ci? — pyta bogacz, ale koń rwie jeszcze prędszym krokiem i oddala się od pałacu.

Wjechali na rozkoszną, cudną dolinę...

Kwiatów na niej tysiące, srebrna rosa je kąpie, a złoty promień słońca je ustraja w barwy przepiękne. Rój motyli ulata żwawo, a wśród nich jak motyl, jak kwiatek różany, dziewczę młode stoi i co chce rączką kwiatek zerwać, ten jej umknie, co chce motyla schwycić, ten jej uleci... Uwija się więc dziewczyna to w lewo, to w prawo, wyciąga ręce i rwie się, by co w nie pochwycić, ale darmo... wszystko przed nią ucieka.

— Jakież to biedne dziecko — mówi do siebie człek, jadący na białym koniu i wstrzymuje rumaka co siły, by stanął, lecz próżne mozoły. Koń pędzi dalej.

Spotkali też człowieka niosącego mały kawał drzewa. Uginał się pod nim tak, jakby ciężar dźwigał niezmiernej uwagi. Ręce mu omdlewały, czoło potem się rosiło, barki pochylały się coraz bardziej, a on niósł to drzewo i jęcząc powtarzał:

— Ciężko mi, ciężko! o strasznie mi ciężko!

— Nie mogę pojąć, jak kawałek drzewa może być tak bardzo ciężki, abyś się pod nim aż uginał — mówi bogacz, lecz biały koń na to jak nie skoczy dęba i rzuci się naprzód, to o mało bogacza z siebie nie zwalił i sam nie wpadł do przepaści. Obejrzał się bogacz wstecz, ale już był daleko i nie mógł ujrzeć biedaka, dźwigającego drzewo.

— Dziwy, dziwy niesłychane. — Czem dalej jadę, tem więcej widzę rzeczy nieznanych, a ciekawych. — Czem bogacz się więcej zaciekawia i chce pytać, tem więcej koń mknie i rzuca się, jakby się bał, by do rozmowy nie przyszło.

Stoi chatka wpół rozwalona, przy niej ciężkie a brzydkie i skrzywione przeraźliwie drzwi. Nad drzwiami ulatuje czarny, duży ptak i bije skrzydłami raz po raz, a dziewczę młode porusza temi drzwiami raz po raz. To otworzy, to przymknie ciężkie drzwi, za każdym razem zawiasy skrzypią przeraźliwie, czarny ptak uderza, a dziewczę bez końca drzwi otwiera i zamyka.

Dalej chłopak na kolanach posuwa się po obszernej i niezmierzonej łące, chce zbierać krople rosy, ale te mu raz poraz z przed rąk uciekają...

Tam znów góra, duża, wysoka, spadzista, na nią drapie się babina, obwieszona żebraczemi łachmanami i torbami. Co wysunie się trochę w górę, spadnie na dół, znów się drapie, a ledwie dostanie się dalej, spadnie na dół i tak ciągle i tak ciągle...

Bogaczowi od tego wszystkiego, co widział, aż w głowie się zamąciło. Zasłonił oczy ręką i tak przedumał chwilę. Wtem koń stanął. Do wspaniałych podwoi złocistego pałacu dwóch aniołów bogacza wprowadziło. Poznał tam staruszka ubogiego, który był u niego wczoraj w chacie, ale zdumiał się, bo staruszek ten dziś ubrany był w śnieżyście białą suknię i wejrzenie miał pogodne, a piękne.

Siedli do stołu. Wreszcie staruszek pyta bogacza:

— Cóżeś tam widział po drodze?

— O, dziwy niesłychane — odrzekł bogacz — nie mogłem tego wszystkiego pojąć, co to znaczy, a co pytałem się kogo, to koń gonił jakby umyślnie prędzej, bym odpowiedzi nie słyszał.

Na to odrzekł staruszek:

— Wszystko coś widział, było już nie na tym świecie, na którym żyjesz. Koń unosił cię prędko, boś chciał rozmawiać z duszami pokutę czyniącemi za swoje grzechy, a to nie wolno.

— Jakto? — z przestrachem zawołeł bogacz — to ja już jestem w innym świecie? to ja już nie na ziemi?

— Gdzie jesteś, dowiesz się przy końcu, a teraz posłuchaj, co ci powiem. Ta kobieta, która wiecznie wodę ze studni do studni przelewa, to niepoczciwa szynkarka, która dolewała wodę do wina i piwa. Za to, że niesprawiedliwie sprzedawała, do końca świata musi wodę przelewać. — Ten mężczyzna, który w wielkim pałacu wołał raz po raz, że mu ciasno, to skąpiec, który mając wiele pokoi i majątku dużo, nigdy biednego nie chciał przytulić ani wesprzeć. Teraz jest sam jeden, a wszędzie mu ciasno. — To dziewczę, które na łące goni za moty-

lami i kwiatami, to dziecko, które chwili czasu nie szanowało, traciło je tylko na zabawie, więc teraz goni za niemi bez końca.

— A człowiek niosący drzewo?

— On skradł raz biednej wdowie ostatni kawałek drzewa, który miała do rozpalenia ognia w chacie. Będzie on to drzewo dźwigał do końca świata, a cięższem ono nad wszystkie żelaza w świecie. — Dziecko drzwiami skrzypiące, to córka nieposłuszna, nie chciała nigdy matki posłuchać, teraz musi być posłuszna czarnemu ptakowi i ruszać drzwiami bez końca. — Chłopiec na klęczkach goniący za kroplami rosy, to chłopak niepoczciwy, który łzy drugim wyciskał, dokuczając wszystkim, teraz nie rosę on zbiera, ale łzy, a one uciekają dalej i dalej. Będzie też za niemi na klęczkach wiecznie gonił, bo wielka jest kara za łzy wyciśnione drugim. — Kobieta zaś, która idzie pod górę, i ciągle na dół opada, to żebraczka, która brała jałmużnę, ale nigdy pacierzy nie odmawiała. — A ten panicz, który od wiecznego płaczu ma już twarz wyoraną jak pługiem...

— Tego nie widziałem, gdzież on?

— Nie widziałeś? On tam przy moście stoi i płacze już od lat tysiąca; wyśmiewał się z wszystkich. Wszystko u niego śmieszne było. Nigdy nikogo nie pożałował, nigdy nad niczem nie zapłakał, więc teraz łzy roni.

— Ach, jakież to smutne rzeczy są w waszym świecie staruszku — rzekł bogacz po chwili. — Gdzież wy właściwie mieszkacie, co za jedni jesteście?

Na to pytanie staruszek ręką ruszył. Wszystko się nagle odmieniło, bogacz padł na kolana — przed nim w jasności wielkiej, wśród aniołów stał Pan Jezus i rzekł:

— Byłeś litościwym dla drugich, dlatego dałem ci ujrzeć świat drugi, idź napowrót na ziemię, a żyj z myślą o drugich. Kto siebie tylko kocha, kto drugich nie słucha lub im krzywdę robi, ten będzie pokutować w gronie tych, których widziałeś.

* * *

Wrócił bogacz do swej wsi. Żył jeszcze długo, był zawsze poczciwym i bogobojnym, ale nigdy nie zapomniał tego, co widział w świecie pokuty za grzechy i mawiał też towarzyszom: **„Nic złego bez kary nie zostanie, nie!**

Psy na górze św. Bernarda

Przez górę św. Bernarda w Alpach prowadzi droga do Włoch. Na szczycie jej leży ciągle śnieg i ciągła panuje zima. Stoi tam klasztor zakonników reguły św. Bernarda, których obowiązkiem jest przy pomocy specjalnie wytresowanych psów ratować zabłąkanych i zamarzniętych podróżnych i udzielać im bezpłatnie przytułku i pomocy w razie nieszczęścia.

W miesiącach, w których w górach wielkie srożą się burze, śnieg tworzy zaspy i lawiny ku dołowi się stacza, wychodzą oni na drogi najwięcej uczęszczane, a śniegiem zawiane, aby śledzić za nieszczęśliwymi i spieszyć im z ratunkiem. Doskonale pomagają im w tej pracy psy, które biegną przed zakonnikami i węszą. Gdy tylko ślad jaki człowieka odkryją, wracają do zakonników i przez skakanie lub pociąganie za habit ciągną ich za sobą. Psom tym zawieszają na szyi chleb i butelkę z winem lub innemi wzmacniającemi trunkami, aby podróżny mógł się zaraz pokrzepić. Było to już przed laty, gdy jeden z tych psów nazwiskiem Barry, w przeciągu lat dwunastu swej służby, uratował sam 40-tu ludziom życie. Było to dziwne zwierzę. Gdy się tylko na burzę zanosiło, nie miało spokoju w klasztorze i drapał do furty. Wybiegłszy z klasztoru zwracał się naprzód do niebezpiecznych miejsc, wąwozów, gdzie zwykle najwięcej nieszczęść się wydarzyło i tam biegł i tropił. Kiedy zestarzał i z sił opadł, dano mu chleb łaskawy, ale ponieważ spokoju w klasztorze nie miał, posłano go do miasta Bern (w Szwajcarji). Tu po kilku latach zdechł, a skórę jego wypchano i postawiono w muzeum.

Na obrazku naszym widzimy zakonników na nartach i psy w śniegu przed wyruszeniem w drogę i patrzącego w dal zakonnika.

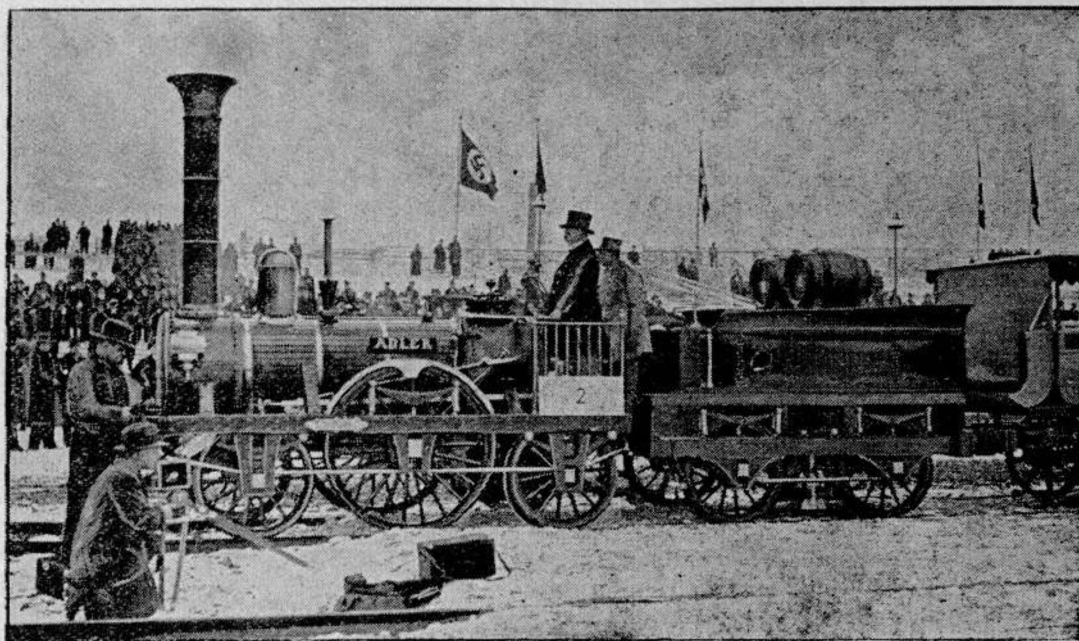
* * *



WRÓBELEK

Stuku-puku — gość nieśmiały
Puka lekko do okienka,
Prosi głodny wróbel mały:
„Niechże wpuści mnie dziecinka!
Mróz siarczysty wody ścina,
Życia ledwie w ży.ach staje,
Silny wicher dąć zaczyna,
Ptaszkom się we znaki daje.
Pani zima już panuje,
Robaczki pozabijała,
Ziemia już kajdany czuje,
Które zima powkładała.
Ziarnka niema już na roli,
Wróbelek umiera z głodu,
Och, a głód tak bardzo boli!
Dziecię, nie miej serca z lodu,
Pomóż teraz wróbelkowi!
Trochę ziarnek, trochę chleba
O naszem życiu stanowi.
Ach, tak mało nam potrzeba!
Dobre serce Ojciec w niebie
Łaskawie pobłogosławi,
Przy zdrowiu utrzyma ciebie,
Dostatek tobie zostawi!"
Dziecię, słuchaj prośby ptaszka,
Samo wiesz: głód to nie fraszka!

Szczęsny Zapolski.



Stulecie niemieckich kolei

W Norymberdze odbył się obchód 100-lecia pierwszej kolei niemieckiej z Norymbergji do Fürth. Uczczono na cmentarzu pamięć pierwszych twórców tej kolei Norymberczyków Jana Scharrera i Jerzego Plattnera, a także pierwszego maszynistę kolei niemieckiej anglika Wiliama Wilsona.

Na obrazku: Jak przed 100 laty. Pierwsza kolej rusza z miejsca. Fragment z uroczystości norymberskich.

DUMNY CHOMIK.

To też dumny był chomik ze swego zwycięstwa! Żonie i dzieciom długo o niem rozpowiadał, a sława jego świetnego czynu rozeszła się szeroko na polu pomiędzy wszystkiemi choinkami. Odtąd nietylko psów się nie bał, ale nawet przed człowiekiem nie odrazu uciekał, — a wrony, sroki, sowy i jastrzębie, ba! -nawet długonogiego bociana miał sobie za nic.

Aż tu pod jesień, ni stąd ni zowąd, zjawiły się na polu jakieś ptaki krzywodziobe: jastrzębie — nie jastrzębie, sokoły — nie sokoły... W dzień drzemały po drzewach lub stożyskach, a wieczorem trzepotały się ponad polem, spadając coraz na ziemię i porywając myszy i polniki...

— Myszołowy! myszołowy!... — piszczały ze strachem małe myszki.

Ale chomik żartował sobie z myszołowów, — on, co z psem dał sobie radę!

Pewnego wieczora wysunął się z jamy, patrzy: opodal na kępce siedzi myszołów... Głowę wtulił między skrzydła, oczy zamknął i śpi.

Zawahał się chomik, cofnął się do nory, lecz za chwilę wyszedł znowu. Myszołów wciąż spał.

— Oto zuch do spania! — pomyślał chomik i odważnie zaczął posuwać się naprzód ku ściernisku, na którem nęciły go jeszcze porzucone kłosy. — Myszołów nawet się nie poruszył.

Nagle, gdy chomik, obładowany ziarnem, wracał do domu, w jednej chwili zerwał się myszołów, który udawał tylko śpiącego, doleciał do przerażonego chomika i zatopił w jego ciele ostre szpony, a krzywym dziobem tłukł po głowie i oczach. — Potem porwał go w górę i uniósł w szponach do lasu.

Tak przepadł dumny, lecz nieostróżny chomik, — a towarzysze opowiadali sobie o nim, że „przez Wisłę przeszedł, a w Dunajcu zginął".

Humor

JĄKAŁA.

— O, to syn pana się jąka?

— A tak, od urodzenia.

— To niech go pan da do szkoły jąkałów.

— A poco? Przecież jąka się już dobrze.

NASZE DZIECI.

Ojciec: — Byłeś niegrzecznym i pójdziesz do łóżka bez kolacji!

Synek: — Ależ tatusiu, ja muszę brać lekarstwo po wieczerzy...

NIEPOROZUMIENIE.

Pan Damazy Prztyk ma na szubku nosa potwornych rozmiarów kurzajkę, której w żaden sposób nie może się pozbyć. Poszedł więc do lekarza. Eskulap obejrzał nos i powiada:

— Taką samą brodawkę miał mój wujaszek, z tą różnicą, że tamta przeszkadzała wujaszkowi w siadaniu.

— To pański wujaszek siadał na nosie? — dziwi się pan Damazy.

POZNAŁ NA SWEJ SKÓRZE.

Syn boksera do swego kolegi:

— Ja wiedziałem, że ojciec dziś nie zwycięży... Jak mi dawał wczoraj w skórę — to już zauważyłem, że nie jest w formie.

MĄDRY REKRUT.

— Kto w szwadronie ma najwyższą szarżę? — pyta wachmistrz rekrutów.

— Pan rotmistrz — brzmi odpowiedź.

— A pod nim kto jest?

— Koń — odpowiada rekrut.

Kącik radjowy

CO MOŻNA ZROBIĆ Z KORKÓW I PUDEŁEK DO PASTY RADZI MAJSTER — KLEPKA Z LEPI — GLINĄ.

Przyjemnie jest mieć nowe zabawki, ale jeszcze przyjemniej jest mieć nowe zabawki zrobione przez samego siebie. Zabawki te robić można z wszystkiego. Zużyć można do tego przedewszystkiem wszystko to, co mamusia wyrzuca jako rzeczy niepotrzebne. Po całem mieszkaniu wałęsa się sporo pudełek pustych od pasty i korków od wypróżnionych butelek. Gdyby pozbierać ten materjał, zgromadzić go na jednem miejscu i zasiąść w **środę dnia 15. I. o godzinie 16-tej** przy słuchawkach radjowych — można się nauczyć robić wiele zabawek. — Poradzą jak to robić należy Majster-Klepka z Lepi-Gliną.

SAMOLOTEM NAD AFRYKĄ.

W dniu 17 stycznia o godz. 12.15 dziatwa szkolna usłyszy interesujące słuchowisko pióra znanego podróżnika, literata, Jerzego Giżyckiego. Młodzi słuchacze odbędą podróż „Samolotem nad Afryką", która nietylko dostarczy im wielu emocjonujących wrażeń, ale także pozna z wielu osobliwościami lądu afrykańskiego, odrębnością krajobrazu, fauny i flory. Ponieważ dziatwa szkolna obecnie interesuje się równie żywo jak starsi — Abisynją — audycja zgromadzić przy głośnikach liczne rzesze młodzieży.

O HELENCE CO POSZŁA NA TARGI.

Teatr Wyobraźni przygotowuje dla dzieci słuchowisko p. t. „O Helence co poszła na targi". Audycja mieć będzie charakter komedji muzycznej. Lekka, wesoła treść pióra wytrawnych autorów radjowych i zgrabna melodyjna ilustracja muzyczna, złożą się niewątpliwie na artystyczną i wdzięczną całość. A więc dnia **18 stycznia o godzinie 18-tej** zaprasza Polskie Radjo młodych słuchaczy, aby posłuchali historyjki „o miłej i dobrej Helence, co w dzień świętej Barbarki, poszła do lasu — dla mamusi — na tarki". —